

<http://www.tvp.info/22543139/nigel-kennedy-nie-ufa-profesorom-jesli-spotykam-utalentowanego-muzyka-to-radze-mu-zeby-rzucil-szkole>



- Franz Liszt lub Beethoven byli muzycznymi bestiami, zwierzakami. W swoich czasach byli kimś takim, jak nasze gwiazdy pop. Wtedy nikt jeszcze nie mówił o muzyce popularnej. Liszt miał swoje groupies, imprezował, ludzie go wielbili. Wielkimi gwiazdami byli też np. skrzypiek Fritz Kreisler i Enrico Caruso. Nie jestem pierwszą osobą, która zdobyła popularność grając muzykę klasyczną – mówi portalowi tvp.info światowej sławy skrzypiek Nigel Kennedy. Właśnie ukazała się jego płyta „The New Four Seasons”.

Ponad 25 lat temu nagranie „Czterech pór roku” Antonio Vivaldiego w wykonaniu Nigela Kennedy’ego było wielkim przełomem na fonograficznym rynku muzyki klasycznej. Z ponad 2 milionami egzemplarzy stało się najlepiej sprzedawanym albumem klasycznym w historii. Płyta przez prawie 2 lata okupowała czołowe miejsca brytyjskich list przebojów. Teraz Nigel Kennedy powraca do tych utworów w całkowicie nowej formie i interpretacji.

Do współpracy zaprosił m. in. wokalistki Zee Gachette and Xantoné Blacq (znana ze współpracy z Amy Winehouse), a także Demona Reece’a, pracującego wcześniej z Massive Attack i Goldfrapp, który całość zmiksował oraz dodał perkusję elektroniczną. Artyście towarzyszy Orchestra of Life, zespół złożony z młodych i utalentowanych muzyków, specjalizujących się nie tylko w repertuarze klasycznym, ale także jazzie i wolnej improwizacji.

Pierwszą wersję „Czterech pór roku” Nigel Kennedy wykonał podczas BBC Proms Festival w 1983 roku. Iwan Hewett z The Telegraph określił tę interpretację jako „....doskonałą, magiczną i tajemniczą podróż muzyczną...”

Co jest tak niezwykłego w „Czterech porach roku” Vivaldiego, że wraca pan do tego utworu? Dlaczego ciągle jest wyzwaniem?

Od ponad 50 lat gram utwory Jimiego Hendrixa, w różnych wersjach i aranżacjach. Jeśli mamy utwór dobrego kompozytora, można go wykonywać wiele razy po prostu dlatego, że to dobra muzyka. Kompozycje Hendrixa i Milesa Davisa zacząłem grać, gdy miałem ok. 13 lat. W „Czterech

porach roku” jest fenomenalna energia, to utwór niezwykłych kontrastów. Bach, czy nawet Hendrix pisali poważniejsze utwory niż Vivaldi. U niego jest prostota melodyczna, piękna orkiestracja, co stwarza dobre warunki do pracy muzykom. Dzięki temu jest świetna interakcja między mną i orkiestrą. Za każdym razem gramy inaczej.



W 1989 r., gdy nagrał pan pierwszą płytę z „Czterema porami roku” mówił pan, że ten utwór ma bardzo nowoczesną strukturę.

Tak, składa się z trzy –, czterominutowych części. Wpisuje się to doskonale w nowoczesny sposób słuchania muzyki i tego, jak jest prezentowana w mediach. Nie umiemy się skoncentrować. To przez szybki obieg informacji, komputery. W filmach, teledyskach ujęcia zmieniają się co kilka sekund. Jakbyśmy wszyscy byli kompletnymi idiotami, którzy nie potrafią się skupić dłużej na dłużej niż 30, 40 sekund. Vivaldi pasuje do tego formatu. Zwięzły sposób przekazu, piękne, krótkie fragmenty, bardzo melodyjne, świeże. Ludzie, którzy nie zetknęli się wcześniej z muzyką poważną, mogą słuchać Vivaldiego. To tak jakby słuchali np. piosenek Franka Sinatry, albo Björk. Interesująca, niezbyt skomplikowana muzyka.

Czy myśli pan, że z biegiem lat zmienia się podejście do muzyki poważnej? Porównajmy współczesność z czasami, gdy nagrywał pan pierwszą wersję „Czterech pór roku”.

Na pewno tak jest. Gdy nagrywałem pierwszy raz „Cztery pory roku”, byłem jedynym, który tak grał muzykę klasyczną. Teraz wielu muzyków przedstawia ją w sposób bardzo przyjazny ludziom, którzy nie są koneserami. Myślę, że rozwija się to w bardzo dobrym kierunku. Muzyka jest dla wszystkich, nie tylko dla inteligencji, dla klasy średniej. Byłem bardzo zadowolony, gdy usłyszałem od przyjaciela, z którym grywam w piłkę, który długo nienawidził muzyki poważnej, że zaczął jej słuchać. Chodzi mi o to, by muzyka poważna była dostępna nie tylko dla ludzi uprzywilejowanych. Być może jednak nie powinniśmy nazywać tego, co się dzieje teraz, rozwojem. Może jest to krok w tył. Franz List lub Beethoven byli muzycznymi bestiami, zwierzakami.

Co ma pan na myśli?

W swoich czasach byli kimś takim, jak nasze gwiazdy pop. Wtedy nikt jeszcze nie mówił o muzyce popularnej. Liszt miał swoje groupies, imprezował, ludzie go wielbili. Wielkimi gwiazdami byli też np. skrzypki Fritz Kreisler i Enrico Caruso. Nie jestem pierwszą osobą, która zdobyła popularność

grając muzykę klasyczną. Kompozytorzy przez wieki pracowali nad nowymi formami muzyki, zachowała się ciągłość. Gdy nagrywałem pierwszy raz „Cztery pory roku”, byłem jedynym, który tak grał muzykę klasyczną. Teraz wielu muzyków przedstawia ją w sposób bardzo przyjazny ludziom, którzy nie są koneserami. Franz, Liszt czy Beethoven byli muzycznymi bestiami.



Do filharmonii wkroczyła też muzyka popularna. Sam pan grywa tam wspomnianego już Hendrixa i The Doors.

Uwielbiam muzykę Jimiego, bo słycać w niej niezwykłą otwartość na ludzi, jego wielkie serce i artystyczną szczerość. Jego muzykę można interpretować na wiele sposobów. Szukał inspiracji wszędzie, m.in. w sztuce celtyckiej. Na tym, co on wymyślił, opiera się teraz rock, był pionierem rocka progresywnego. Był kimś niezwykłym. Pisał piosenki, które miały wpływ na wielu, wielu ludzi i zawsze pozostał sobą, Jimim Hendrixem. Nigdy nie stał się produktem żadnej firmy produkcyjnej. W USA nie wiedzieli, co z nim zrobić, nie przebiłby się tam. W latach 60. czarni i biali artyści nie pojawiali się razem w amerykańskiej telewizji i radiu. Musiał przyjechać do Europy, by zacząć grać coś innego niż blues. W USA było prawie nie do pomyślenia, że czarny nie gra jazzu, czy bluesa właśnie i zabiera się za rock. Przełamał wiele barier, nie tylko w muzyce, ale też w sferze społecznej. Wynalazł nowy styl grania na gitarze. Ci, którzy grali po Hendriksie, korzystali z jego pomysłów. Był kimś więcej niż np. B.B. King. Jego muzyka trafiała i trafia do wszystkich.

Był czystą muzyką?

Tak, i nie istniały dla niego żadne ograniczenia, gatunki. Dzielenie sztuki, literatury na gatunki jest nienaturalne. Ułatwia to życie bibliotekarzom, naukowcom i tym, którzy pracują w przemyśle muzycznym. Klasykę upycha się gdzieś z tyłu sklepu, gdzie indziej jest miejsce dla jazzu. Na pierwszym planie jest rock i pop. Ale uważam, że gatunki zaczną znikać. Sprzyja temu wszechobecna komputeryzacja. Ja zostanę chyba jedynym człowiekiem na świecie bez komputera. Widzę, co się dzieje z ludźmi uzależnionymi od komputerów, od nieustannego przepływu niepotrzebnych informacji. Moja żona pracuje z komputerem, wysyła dziesiątki maili. W odpowiedzi dostaje np. jedno krótkie słowo „tak”. Ludzie poświęcają czas zupełnie niepotrzebnym sprawom.

To nowoczesny sposób komunikacji.

Raczej antykomunikacji. Trudno tak naprawdę skutecznie się porozumieć w ten sposób. Gdy miałem 19 lat, pracowałem z agentką, która zorganizowała mi 120 koncertów w ciągu roku; każdy z innym producentem. Bez e-maili, komputerów, tylko z pomocą telefonu i zwykłej poczty. Wszystkie koncerty doszły do skutku, były dopięte na ostatni guzik. W dobie komputerów tak świetna organizacja nie byłaby możliwa. Za dużo jest niepotrzebnej gadaniny i pisania. Dzielenie sztuki, literatury na gatunki jest nienaturalne. Ułatwia to życie bibliotekarzom, naukowcom i tym, którzy pracują w przemyśle muzycznym.

Co jest dla pana największym wyzwaniem w muzyce? Co daje panu napęd?

Radość grania. Uwielbiam wstawać rano i grać. To jest prawie jak medytacja. Dzięki muzyce komunikuję się z moimi kolegami muzykami, z publicznością. Ten kontakt jest prawdziwym powodem, by grać. Moje poranne sesje muzyczne dają mi olbrzymie zadowolenie, ale gdybym dzięki muzyce nie miał kontaktu z ludźmi, nie dawałoby mi to przyjemności na dłuższą metę. Nagrodą jest dla mnie znoszenie barier, łączenie się z ludźmi na jednym poziomie, na poziomie muzyki. Muzyka dzieje się w czasie, jest tu i teraz. Co my tu mamy na ścianie? Lustro? Tapetę? Ktoś to kiedyś zrobił i teraz na to patrzymy. Muzyka jest jedyną sztuką, która dzieje się w czasie i znika. Tak jest podczas koncertów. To fantastyczne. To w muzyce uwielbiam. Zupełnie inaczej ma się sprawa z nagraniami studyjnymi. Robi się je dla ludzi, którzy nie mogą przyjść na koncert. To dla nich szansa, by słuchać muzyki w domu, w radiu. Dla mnie żywa muzyka jest najdoskonalszą formą.

Koncerty są najważniejsze?

Dla mnie tak. Dzięki spontaniczności, energii. Za każdym razem to fantastyczne, unikatowe przeżycie.

Publiczność przekazuje artystom swoją energię?

To jest jak prąd elektryczny. Gdyby nie było publiczności, pozostałaby tylko praca z innymi muzykami, na pewno cenna dzięki wymianie myśli. Ale obecność publiczności krzesze iskry. Daje światło. Fantastyczne przeżycie!

Ma pan opinię buntownika. Lubi pan łamać zasady i występuje m.in. przeciwko profesorom, traktującym muzykę poważną jak świętość. Dlaczego?

Jeśli spotykam młodego, utalentowanego muzyka, to radzę mu od razu, żeby rzucił szkołę. Żeby nie ograniczały go żadne doktryny, protokoły, wytyczne. Lepiej pracować w supermarkecie, zbierać doświadczenie życiowe, niż postępować zgodnie z tym, co mówią skostniaли profesorowie. Chodzi o kontakt z różnymi ludźmi. W konserwatoriach panoszy się atmosfera samozadowolenia. Profesorowie tłumaczą swoim uczniom, co jest najbardziej dogodne, panuje konformizm. Wszyscy grają w podobny sposób. W takiej sytuacji trudno odnaleźć swoje artystyczne ja. Wydaje mi się, że znacznie bardziej wartościowe może być granie na ulicy. Uczyłem się u najlepszych muzyków świata, moimi profesorami byli Yehudi Menuhin, Doroty DeLay i Stéphane Grappelli, ale potem musiałem zniszczyć 80 proc. tego, co mi wpoili. 20 proc. tej wiedzy, którą mi przekazali, uważam za wartościową. Nie chciałem, nie mogłem zostać klonem żadnego z tych muzyków. Większość informacji przekazywanych w szkołach jest kompletnie niepotrzebna.

Uwielbiam wstawać rano i grać. To jest prawie jak medytacja. Dzięki muzyce komunikuję się z moimi kolegami muzykami, z publicznością. Ten kontakt jest prawdziwym powodem, by grać.

Radość grania.

Nie lubię też, gdy ktoś mówi mi, co mam robić. Nigdy nie słucham poleceń, byłem nieposłusznym dzieckiem. A przemysł muzyczny jest pełen ludzi, którzy starają się narzucić muzykom swoje

zdaniem. Jeśli my, artyści, podniesiemy raban, to ci ludzie stracą pracę. A w przeciwnym wypadku powstanie sztuczna, plastikowa muzyka. Wszyscy muzycy są ważni, ale najważniejsza jest sama muzyka. Bez niej nic by się nie udało. Nie byłoby też tzw. przemysłu muzycznego. Wydaje mi się, że teraz mamy do czynienia z taką, jak ja to nazywam, przemysłową muzyką. Takie mnie nachodzą refleksje, gdy widzę te wszystkie talent show w telewizji. Jest parę wytwórni płytowych, które nadal wydają interesujące albumy muzyczne i naprawdę pracują z twórcami. Dają ludziom do słuchania prawdziwą, wartościową muzykę. Reszta nie zasługuje nawet na miano pseudosztuki.



Czuje się pan gwiazdą?

Jestem tym, kim jestem. Ale dobrze jest być znanym, bo wtedy ludzie chętniej słuchają mojej muzyki. Jeśli nikt cię nie zna, nie dotrzesz do publiczności. Olbrzymią frajdę daje mi granie w wypełnionej po brzegi sali koncertowej. Źle bym się czuł, gdyby ludzi było mało. Moja codzienność jest daleka od gwiazdorstwa. Gram i staram się być coraz lepszym skrzypkiem. Wiek nie ma znaczenia, cały czas się uczę. Piłkarze kończą kariery, gdy są po trzydziestce, a muzycy – tak jak robili to np. B. B. King, Artur Rubinstein, czy Miles Davis – stale doskonałą warsztat.

To proces?

Trwająca całe życie podróż. Uczyłem się u najlepszych muzyków świata, moimi profesorami byli Yehudi Menuhin, Doroty DeLay i Stéphane Grappelli, ale potem musiałem zniszczyć 80 proc. tego, co mi wpoili. Nie chciałem, nie mogłem zostać klonem żadnego z tych muzyków.

Bardzo dużo pan pracuje. A co z relaksem?

Słucham przeróżnej muzyki, dużo. Po każdym koncercie idę na fantastyczne party. Spaceruję z psami. Jestem fanem piłki nożnej, ale oglądanie meczów nie jest bardzo relaksujące. Wręcz przeciwnie. Denerwują mnie piłkarscy gwiazdorzy, którym zależy tylko na zarabianiu pieniędzy i popularności, a sport stawiają na dalszym miejscu.

Lubi pan przyjeżdżać do Polski?

Bardzo. Mnóstwo się tu nauczyłem. Każdy pobyt tutaj daje mi wiele radości. Ludzie w Polsce ciężko pracują i świetnie się bawią. Gram tu z fantastycznymi muzykami, m.in. z zespołu Kroke, Jarosławem Śmietaną, świetne są polskie orkiestry symfoniczne. Polska jest dla mnie miejscem,

gdzie mogę grać bardzo dobrą muzykę. Fantastyczny kraj dla mnie jako dla muzyka i jako dla człowieka. Bardzo podoba mi się Małopolska. Lubię małe miejscowości, gdzie nie ma banków, sieciówek, fast foodów.

